

Czeski film - ćwiczenia rezerwy Wojska Polskiego



Tutaj powinien być materiał audio

Cezary Baryka

Czeski film - ćwiczenia rezerwy Wojska Polskiego

Godzina szósta rano. Stawiam się w jednostce wojskowej, aby wywiązać się ze zobowiązania, które złożyłem lata temu – przysięgi, że pojawię się wtedy, gdy Ojczyzna mnie wezwie. Zanim jednak nadejdzie taki moment, państwo musi w czasie pokoju przygotowywać to, co jest jego najważniejszym zasobem obronnym: rezerwę. To właśnie rezerwiści – ludzie, na których barkach realnie wygrywa się wojnę – powinni być szkoleni, przygotowani i traktowani z pełną powagą.

Studiując zagadnienia związane z wojną – jej współczesny charakter, sposób adaptacji państw i armii oraz lekcje płynące z konfliktu, który od prawie czterech lat trwa tuż za naszą wschodnią granicą – coraz wyraźniej widzę, jak ważna jest świadomość i przygotowanie. Dlatego gdy nadszedł moment odbycia szkolenia rezerwy, nie traktuję go jak zwykłej formalności, lecz jak element obowiązkowy, którego nie mogę zignorować. Nie tylko dlatego, że wymaga tego prawo, ale również z poczucia ciągłości – z pamięci o tych, którzy byli tu przede mną.

Mój pradziad walczył w wojnie polsko-bolszewickiej w 1. Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Później brał udział w kampanii wrześniowej i poległ w drodze do obrony Warszawy. Jego żona, moja prababka, po przymusowym wywiezieniu na roboty do Niemiec – w chwili wyzwania ziem – dołączyła do 1. Dywizji Pancерnej generała Stanisława Maczka. Inni członkowie rodziny również walczyli podczas II wojny światowej, choć na różnych frontach. Ich historia stała się dla mnie czymś więcej niż rodzinną opowieścią – ukształtowała we mnie poczucie obowiązku. Dorastałem, słuchając opowieści mojego ojca o bohaterstwie naszych rodaków. Nie czuję się przez to wyjątkowy; w Polsce całe pokolenia wychowywały się na krwi swoich przodków. Efekt? Dziś mamy III Rzeczpospolitą.

Jak funkcjonuje dzisiaj nasze państwo – każdy wie. Wystarczy spróbować załatwić sprawę w urzędzie, prowadzić

firmę albo choćby włączyć telewizor. I właśnie telewizja prowadzi mnie do sedna tej opowieści. Bo od lat jesteśmy bombardowani komunikatami o własnej wielkości. O tym, że dążymy do budowy największej armii w Europie, że jesteśmy „Silni, Zwarc i Gotowi”.

Tyle że to - brutalnie mówiąc - jedno wielkie oszustwo. Bo ta „wielkość” nie idzie za jakością.

Podczas mojego pierwszego szkolenia nie dostrzegałem jeszcze w pełni skali tego, jak bardzo jesteśmy oszukiwani. Owszem, już wtedy miałem pewne wyobrażenie o tym, jak funkcjonuje Wojsko Polskie — w atmosferze powszechnego, instytucjonalnego zakłamania. Było to jednak moje pierwsze realne zderzenie teorii, którą studiowałem, z praktyką polskiej armii. Priorytetem tamtych ćwiczeń była wtedy... musztra. Jeden z dowódców, mentalnie tkwiący w poprzednim systemie, skupiał się na niej z żarliwością godną minionej epoki — jakby świat zatrzymał się w miejscu. Nie przejmował się tym, że w dokumentach zobowiązał się szkolić żołnierzy z umiejętności, które mogą realnie zdecydować o sukcesie na polu walki.

Z tamtego szkolenia szczególnie zapadło mi w pamięć jedno wydarzenie — choć podobnych sytuacji było wiele. Podczas zajęć terenowych mieliśmy przeprowadzić konkretne szkolenie taktyczne. Nie udało się. Nie z winy instruktora prowadzącego, lecz z braku czasu i fatalnej organizacji. Kiedy na miejsce przyjechał major odpowiedzialny za przygotowanie wytycznych szkoleniowych, podoficer uczciwie przyznał, że zadanie nie zostało wykonane. Major spojrzał na niego ze złością i powiedział krótko: „(imię), nie chcę tego słyszeć”, po czym podpisał kwit wypełnienia szkolenia i odjechał do innej grupy. I to było wszystko. Jakby istotą szkolenia nie była faktyczna nauka, lecz fałszowanie obrazu rzeczywistości na potrzeby przełożonych - byle zgadzało się wszystko w papierach. Tak właśnie wyglądało to w moim przypadku kilka lat temu.

W tym roku wezwano mnie już jako żołnierza rezerwy, po złożonej przysiędze. Na ćwiczenia jechałem jednak z zupełnie innym nastawieniem. Traktowałem je jak eksperyment, chciałem skonfrontować wiedzę z praktyką Wojska Polskiego — gdzie nasi politycy i wojskowi wciąż opisują językiem „czasów przedwojennych”. Chciałem zderzyć to z rzeczywistością, którą tym razem obserwowałem od środka. Zwłaszcza, że wiedza o prowadzeniu współczesnej wojny — od taktyki, przez logistykę, po adaptację państw — jest dziś dosłownie na wyciągnięcie ręki. Nigdy wcześniej w historii świata nie była tak dostępna. Jej ignorowanie nie jest już zwykłym przeoczeniem. To przejaw skrajnej ignorancji, wręcz strategicznego kołtuństwa. Albo — co gorsza — efekt świadomego działania. Innej możliwości nie widzę.

Pełnoskalowa wojna w Ukrainie trwa od lutego 2022 roku. W tym czasie — z oczywistych względów — w polskim systemie szkolenia wojskowego powinny zostać wprowadzone poważne zmiany. Ćwiczenia rezerwy były więc idealną okazją, by sprawdzić, czy nasze siły zbrojne wyciągnęły jakiekolwiek wnioski z doświadczeń współczesnego pola walki. Z tą myślą przewodnią stawiałem się na szkoleniu.

Godzina szósta rano. Stawiam się w wyznaczonej jednostce na ćwiczenia rezerwy. Już po przekroczeniu bramy trafiam w dobrze znany krajobraz polskiej codzienności — wszechogarniającą biurokrację. Przechodzę z jednego pokoju do drugiego, dostając do wypełnienia kolejne stosy dokumentów. Te same formularze, które składałem wielokrotnie podczas swoich wizyt w Wojskowym Centrum Rekrutacji. Proces administracyjny dla całej kompanii trwał ponad sześć i pół godziny. Sześć i pół godziny — zanim ktokolwiek z nas mógł poczuć, że znajduje się w wojsku, a nie w jednym z urzędów. Zadałem sobie wtedy pytanie, które towarzyszyło mi już wcześniej: ile czasu zajęło Rosjanom dotarcie pod Kijów? W końcu 24 lutego 2022 roku, dokładnie w takich porannych godzinach, trwały już walki o lotnisko w Hostomlu, a rosyjskie rakiety uderzały w ukraińską infrastrukturę cywilną i wojskową. Przypominałem sobie wtedy słowa, które kiedyś cytowałem w jednej ze swoich prac dyplomowych — motto Napoleona: „Mogę stracić teren, ale nie czas. Teren można odzyskać — czasu nigdy”. W polskiej armii nikt jednak nie sprawiał wrażenia, jakby ta myśl miała jakiekolwiek znaczenie.

Po sześciu i pół godzinach wydarzył się mały cud: wydano nam mundury i plecaki. Co ciekawe, proces przekazania umundurowania dla ponad stu żołnierzy rezerwy obsługiwało... osiem osób. Patrząc na ten spektakl logistycznej indolencji, pomyślałem jedno: skoro jako rezerwista złożyłem przysięgę, logiczne byłoby, aby podstawowe wyposażenie — mundur i buty — zostało mi przydzielone wcześniej, żebym mógł je trzymać w domu, gotowy na wezwanie. Ile czasu i pieniędzy można by w ten sposób oszczędzić. Przyjęcie rozwiązania, w którym rezerwista otrzymuje na stałe wyposażenie po złożeniu przysięgi, wydaje się oczywiste: dostaję wezwanie i stawiam się już przygotowany, zamiast tracić cenne godziny na biurokratyczny teatr, który niczego nie wnosi do realnego szkolenia.

Dlaczego więc tak nie jest? Politycy zapewniają, że środki przecież są. Skoro tak, nasuwają się tylko dwa wyjaśnienia:

1. albo władze wojskowe i polityczne nie ufają rezerwistom i sądzą, że będą używać mundurów niezgodnie z przeznaczeniem;
2. albo mundurów po prostu nie ma.

Po wydaniu mundurów skierowano nas do stołówki na obiad. Po nim czekała nas kolejna porcja formalności —

tym razem związanych z poświadczeniem bezpieczeństwa. Proces ten przypominał smutną groteskę. Przy jednym stoliku siedziały trzy osoby: jedna wydawała ankiety, a dwie pozostałe zadawały mechaniczne pytania, na które oczekiwano wyłącznie odpowiedzi „tak” lub „nie”. Miałem nieodparte wrażenie, że niezależnie od tego, co byśmy powiedzieli, poświadczenia i tak zostałyby wydane.

W międzyczasie jeden z oficerów poinformował nas, że zaraz jedziemy na poligon. Wszyscy powołani byli w lekkim szoku — nikt z WCR nas o tym nie uprzedził. W efekcie nikt nie zabrał odpowiedniego prywatnego zaopatrzenia. Sama kadra była tym zaskoczona. Jeden z żołnierzy skomentował sytuację z prześmiewczym uśmiechem mówiąc: „Nikt wam tyle nie obieca, co WCR”.

Po godzinach papierologii ruszyliśmy w końcu na poligon. W tym momencie zadałem sobie pytanie, które powinno niepokoić każdego obywatela: czy my w ogóle budujemy siły zbrojne na czas pokoju, czy na czas wojny? Bo doświadczenia płynące z Ukrainy leżą dziś na stole — jawne, wyeksponowane, dostępne dla każdego, kto chce po nie sięgnąć.

Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy do wyznaczonego miejsca — obozowiska zgrupowania poligonowego. To było moje pierwsze realne zetknięcie z polowym wojskowym zakwaterowaniem, choć z dzieciństwa pamiętam liczne wyjazdy pod namiot z ojcem. Nie byłem harcerzem, ale warunki, które wtedy uważałem za przygodę, dziś — przy ogrzewanych namiotach wyposażonych w tzw. KL-ki — wydały mi się wręcz luksusowe. Całość przypominała raczej rozbudowany obóz harcerski niż wojskową infrastrukturę dostosowaną do wymogów współczesnego pola bitwy. Bo przecież to, jak dziś śpi i je żołnierz, również uległo zmianie. Wtedy po raz pierwszy pojawiła się myśl, która wracała do mnie przez kolejne dni: czy to jest wojsko, czy tylko zabawa w wojsko — coś na kształt grupy rekonstrukcyjnej? Warunki poligonowe mają przygotowywać żołnierza do realiów służby w terenie. Ale czy właśnie do takich? Logistyka — przywiezienie namiotów, łóżek, kuchni polowej i całej infrastruktury — jest w całości realizowana przez wojsko. To kosztuje ogromne środki: stałe etaty, magazynowanie, transport, serwis. Tymczasem część takich świadczeń można by przekształcić ze stałych kosztów na zmienne, oddelegowując je na rynek prywatny — dokładnie tak, jak zrobiono z toaletami - bo przecież nikt nie chce etatu babrania się w gównie.

Ale tak się nie dzieje. Pieniądze są dalej przepalane na utrzymanie anachronicznego systemu.

Przy dalszej procedurze wydawania wyposażenia rozpoczęła się tzw. „Operacja koc” — tak ją prześmiewczo nazwaliśmy. Zgodnie z obowiązującymi normami w WP rezerwiści nie mają prawa do śpiworów; te są przeznaczone wyłącznie dla żołnierzy zawodowych. W zamian otrzymaliśmy więc klasyczny wojskowy zestaw: dwa koce, dwa prześcieradła, poduszkę i poszewkę. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało w porządku. Problem pojawił się jednak dopiero wieczorem.

Wieczorem do obozowiska dotarło trzech rezerwistów, którzy przyjechali późniejszym transportem. Dla nich... zabrakło koców. W tym samym czasie, jak na ironię, nasza KL-ka uległa awarii — nie działała przez pierwsze trzy dni. Efekt? Ci, którzy nie dostali koców, spali „w opakowaniu”, owinięci jedynie w to, co mieli przy sobie. „Operacja koc” trwała dwa dni. Dwa dni — bo następnego dnia była sobota. Czyli weekend. I tu dochodzimy do sedna problemu: Wojskowe Oddziały Gospodarcze (WOG) — swoiste państwo w państwie, a właściwie urząd działający w strukturach wojska. A urząd w Polsce funkcjonuje według jednej zasady: urzędnik pracuje do 15:00, po czym odkłada długopis i wychodzi do domu. Dokładnie tak samo działa WOG. Żołnierze mogli spać niemal pod gołym niebem, ale ponieważ był weekend, nikt nie mógł wydać koców. Po licznych telefonach dowódcy kompanii szkoleniowej sprawę ostatecznie załatwiła dopiero interwencja dowódcy brygady, który nakazał dostarczyć sześć koców i sześć prześcieradeł. Patrzyłem na tę sytuację również przez pryzmat ekonomii — bo to pieniądze podatników, również moje. Ostatecznie koce przywieziono... z jednostki, z której wyjeżdżaliśmy. Oddalonej o ponad sto kilometrów. Ktoś musiał więc przejechać dwieście kilometrów, marnując czas i środki tylko po to, by dostarczyć sześć koców.

A Wojskowe Oddziały Gospodarcze? W mojej ocenie — i w ocenie każdego żołnierza, z którym rozmawiałem — nadają się do kompletnego zaorania. To biurokratyczne twory funkcjonujące jak typowy urząd: „od-do”, bez cienia zrozumienia dla podstawowych potrzeb żołnierza. Z relacji dowódcy wynikało jasno, że to właśnie WOG-i generują największe opóźnienia i problemy z wydawaniem sprzętu. To one są wąskim gardłem, które paraliżuje cały proces — od logistyki, przez wyposażenie, po zwykłą, elementarną gotowość żołnierza do działania.

Kolejny dzień zaczęliśmy od śniadania. A potem... znowu czekanie. Czekanie na wyposażenie, czekanie w kolejce, czekanie na wydanie. Liczyłem czas z zegarkiem w ręku — minęło trzydzieści godzin od momentu stawienia się w jednostce. Trzydzieści godzin, co do minuty, zanim otrzymaliśmy pełne wyposażenie: mundur, broń, kamizelkę oraz hełm. Dopiero wtedy mogliśmy zacząć właściwe szkolenie.

I tu muszę oddać sprawiedliwość — jeśli chodzi o samo szkolenie strzeleckie, trafiłem naprawdę dobrze. Instruktorzy byli po misjach, a część z nich stanowili byli żołnierze wojsk specjalnych. Ich podejście, świadomość realiów współczesnej walki, jakość nauczania — wszystko stało na bardzo wysokim poziomie. Robią świetną robotę, w granicach tego, na co pozwala im system. Dla porównania: podczas mojego pierwszego szkolenia podstawowego wystrzelałem może czterdzieści nabojów przez cały okres szkolenia. Tymczasem teraz

— czterdzieści pięć nabojęw dziennie, przez trzy dni. W polskich realiach szkolenia strzeleckiego to wręcz kopernikański przełom.

Szkolenie taktyczne było jednak inną historią. Fakt prowadzone według podręcznika, ale rażąco niedostosowanego do realiów współczesnego pola walki. Podstawowy problem? Absolutny brak selekcji i racjonalnego podziału grup - jednak to powinno leżeć w gestii WCR. W jednej sekcji znalazły się osoby od 20 do 60 roku życia. Nie chodzi o wiek jako taki, lecz o biologię - różne zdolności psychofizyczne, różną mobilność, różną szybkość przyswajania nowych umiejętności. Efekt był przewidywalny — przestoje. Czekanie „bo papieros”, „bo trzeba odpocząć”, „bo ktoś nie da rady”, „bo może dojść do kontuzji”. Tak nie da się prowadzić efektywnego szkolenia.

Pododdziały, w których operowaliśmy — 12-osobowe sekcje — od dawna nie mają racji bytu. Na Ukrainie struktury sekcji zredukowano o połowę, bo każde większe ugrupowanie jest natychmiast wykrywane i likwidowane. Tymczasem my poruszaliśmy się tak, jakby drony nie istniały. Jakby rok 2022 nigdy się nie wydarzył. Zapytałem jednego z sierżantów, czy podczas ćwiczeń korzystają z jakiegokolwiek cyfrowej łączności albo cyfrowych map pola walki. Spojrzał na mnie tak, jakbym właśnie urwał się z choinki, po czym wyjął papierową mapę i powiedział, że „ewentualne mapowanie mogę zrobić kolorowym pisakiem”. Papierową mapę. W roku 2025. W momencie, w którym na Ukrainie takie rozwiązania praktycznie zniknęły już w pierwszych miesiącach pełnoskalowej wojny.

Następnie czekało nas zapoznanie ze sprzętem, którym dysponuje brygada. Zaczęliśmy od bezzałogowych statków powietrznych. Instruktor — profesjonalny, kompetentny, świetny w swoim fachu, specjalista — od razu zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, czułem, że „czuje bluesa” - znalazło to swoje potwierdzenie później w naszej rozmowie. Zadałem mu pytanie, czy żołnierze mają na wyposażeniu drony FPV i czy szkolą się z wykorzystania tego typu systemów. Odpowiedział zdaniem, które zapamiętam na długo: „Dowództwo nie dostrzega zmian na polu walki. Nie czuje trendu. Wszystkie tego typu szkolenia i sprzęt realizujemy z własnej kieszeni”. Wraz z kolejnymi pytaniami stawało się to coraz bardziej oczywiste: pododdział, który nam prezentowano, jest dziś pozbawiony realnej zdolności bojowej. Zdolności do zabicia przeciwnika i do skutecznego wsparcia własnych żołnierzy.

W skład jego kompanii wchodzi trzy sekcje: jedna realna i dwie — w praktyce — fikcyjne.

Sekcja rozpoznawcza dysponująca FlyEye’ami. Kilkoma — na całą brygadę. I... to wszystko. Koszt jednego systemu? 400 tysięcy złotych. Zapytałem, czy żołnierze mają możliwość jakiegokolwiek polowego serwisu, gdy sprzęt ulegnie uszkodzeniu. Odpowiedź była natychmiastowa: „Nie. Uszkodzony system trafia do serwisu. Gdybym sam próbował go naprawić, prawdopodobnie usłyszałbym, że odpowiadam za uszkodzenie mienia wojskowego — a na to jest paragraf”. Dopytałem więc o cykl *sensor-shooter* — czas od wykrycia celu do jego zniszczenia. Odpowiedział: „około 10 minut.” Dla porównania — Rosjanie i Ukraińcy zeszli do 2-3 minut.

To była jedyna realna zdolność tej kompanii.

A teraz część fikcyjna: Sekcja uderzeniowa; powinna mieć na stanie Warmate’y. Nie ma ani jednego. MIAŁY być w 2022 roku — ale nikomu się nie spieszy. Sekcja przeciwlotnicza; Ma zostać wyposażona w „Pioruny”. „MA”.

To szkolenie odbywało się tuż po wtargnięciu rosyjskich dronów w polską przestrzeń powietrzną. Dlatego zadałem instruktorowi fundamentalne pytanie: Czy żołnierze są szkoleni z przeciwdziałania dronom? Tworzenia mobilnych stanowisk, technik zestrzeliwania, czegokolwiek?

Odpowiedź była krótka, bezsilna: „Nic mi o tym nie wiadomo.”

Dalej, na następnych zajęciach zapoznaliśmy się ze środkami optoelektronicznymi. I właśnie wtedy wróciła do mnie myśl dobrze znana każdemu, kto śledził pierwsze miesiące wojny w Ukrainie: zjawisko *crowdfundingu*. Noktowizory, termowizory, drony, kamizelki — wszystko to kupowali zwykli obywatele, fundacje i prywatne grupy wsparcia. Gdy zestawilem tamte doświadczenia z liczbami, które przedstawili mi żołnierze — tym, co mają realnie na stanie i na czym ćwiczą — stało się dla mnie oczywiste jedno: w Polsce byłoby dokładnie tak samo.

W razie „W” pierwsze dostawy kluczowego sprzętu zapewniłoby nie państwo, nie system, lecz społeczeństwo. Tacy sami sami ludzie, którzy je kupowali w pierwszych tygodniach dla ukraińskich żołnierzy. Mam jedynie nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli tego sprawdzać. Choć nawet nadzieja ma swoje granice.

Nie pytając w ogóle o koszty, od jednego z żołnierzy usłyszałem, że samo to zgrupowanie kosztowało 20 milionów złotych. Z ośmiu dni szkolenia cztery spędziliśmy na czekaniu: na zbiórkę, na sprzęt, na decyzję, na wydanie i zdanie wyposażenia, na procedury, które nie mają absolutnie żadnego znaczenia szkoleniowego. Kiedy pytałem żołnierzy, instruktorów i specjalistów od dronów, czy w ten sposób ma wyglądać „wyciąganie wniosków z Ukrainy”, odpowiadali jedynie bezradnym wzruszeniem ramion — jakby wszyscy pogodzili się z tym, że system stoi w miejscu. Ale system stoi tylko pozornie. Bo w tym samym czasie, tuż za naszą wschodnią granicą, wojna wygląda inaczej. Ukraińcy i Rosjanie walczą w rzeczywistości, w której taktyki z Afganistanu i Iraku nie mają takiej wartości. W świecie, gdzie kolumna pojazdów jest wykrywana i atakowana w ciągu minut, zgrupowania

muszą być rozproszone, a papierowa mapa jest swoistym reliktem muzealnym, nie narzędziem pracy.

Do napisania tej relacji zbierałem się od dłuższego czasu, ale zapalnikiem był dla mnie artykuł BBC o ukraińskich szkoleniach w Polsce — a właściwie komentarze pod nim, pełne porad, by „nie wierzyć w ukraińską propagandę”. **No szlag mnie trafił.** Bo jestem przekonany, że polscy żołnierze nie mają dostępu nawet do takiego poziomu szkolenia — mówię o szkoleniu systemowym, nie prywatnym, finansowanym z własnej kieszeni.

Przekonanie, że nasze procedury i nasze szkolenia są „z definicji” lepsze, jest czystą ignorancją i pyszałkowatym poczuciem wyższości. Bo dzisiaj Ukraińcy i Polscy uczestnicy tej wojny, których rzekomo „szkolimy”, częściej szkolą nas niż my ich. To Ukraina jest dziś laboratorium przyszłego pola bitwy. A NATO — w tym Polska — nadal przygląda się wynikom tego eksperymentu z dystansu. Z dystansu, który w naszym przypadku jest paradoksalny — bo spośród wszystkich państw świata to właśnie my mamy do tego laboratorium najbliżej.

Dlatego najważniejsze pytanie brzmi: Jak to możliwe, że po prawie czterech latach wojny wciąż trafiają do nas informacje o takich absurdach?

Bo jeśli szkolenia rezerwy, „weekendowe” programy i kursy „z wojskiem” mają wyglądać tak, jak wyglądały moje — to nie jest przygotowanie państwa do wojny. To czeski film, w którym nie wiadomo o co chodzi. To parodia przygotowania. Droga zabawa za publiczne pieniądze. Czeski film, który ogląda się z niedowierzaniem... aż do momentu, w którym człowiek uświadamia sobie, że stawką w tym scenariuszu jest życie kolejnego pokolenia Polaków.

To nie jest felieton o złej organizacji. To desperackie wołanie o opamiętanie się.

I wbrew pozorom — ostatni dzwonek wciąż dzwoni. Pytanie: czy ktoś jeszcze go słyszy?